

Maksymilian Bart-Kozłowski

Redakcja Literat. i Report.

Dnia 25-V-78 241

Godz. 16⁰⁵-27³⁰

[Handwritten signature]

Główny Urząd Kontroli Prasy
Publikacji i Widowisk
Delegatura w Bydgoszczy
udziela zody na wykonanie
i rozprawienie

BLĘKITNE NARZECZE POWROTU *220* *[Signature]*
Podpis *[Signature]*

Najbardziej błękitne są powroty czynione na oczach wszystkich, takie, o których wszyscy wiedzą. I to nie dlatego, że tak trzeba uczynić, jakby z nakazu. Nie o taki stan idzie tutaj sprawa, o nie. Skowron powrócił do Zakola swej rodzinnej wsi w biały dzień, w samo południe, środkiem drogi, nie taką mijaną ścieżką pośród drzew, aby nikt nie zauważył, że on powraca do wsi, teraz po latach długiej nieobecności i to wykształcony, facet z zawodem, umiejący nawet za wiele jak na wieś. Doskonale kandydat na ożenek. Bo fachman jak się patrzy, a to liczy się najwięcej, nie morgi, nie ziemia, tej mu raczej nie brakowało. Mógłby jej dobrać zresztą tyle ile zechciałby, przecież gospodarka Będkowskiego stawała się wolna. Stary Będkowski pożegnał się na zawsze z ziemią, która wychowała i wyuczyła pięciu magistrów i dwie lekarki. Wszyscy teraz w mieście, Będkowski także jest z nimi. Dobrze, że jest z nimi, bo kto wie gdzie mógłby spędzić ostatnie lata, może w domu starców jak ten Jankowski, którego nikt nie przyjął,

ale nie wszyscy są tacy. Skowronowi ziemi jednak nie brakowało. Maciej Skowron - jego ojciec nagromadził jej dosyć. Tylko młode ręce mogły tej ziemi podołać.

...Andrzej Skowron powrócił na wieś. Błękitnie jest w sercu starego Macieja Skowrona. Syn dotrzymał umowy, więcej można powiedzieć, że wykonał swoje postanowienie nie tylko względem ojca, ale przede wszystkim siebie. Tak kiedyś postanowił i wykonał to powracając południem w dzień, kiedy najwięcej ludzi patrzy na drogę...

...Opuścił wieś parę ładnych lat temu. Wielu opowiadało o tych miastowych mądrościach, pojechał po nie, na edukację do miasta. To były trudne lata. Nie składał nikomu ślubowania powrotu. Ani chwili nie wątpił, że nie wróci. Przecież nie opuszczał wieś tak jak Stefan Knolek, cichcem, nocą, kiedy duchy po ziemi chodzą w dużym stadzie. Stefan Knolek nie bał się duchów, lękał się ludzi. Ukrył się w starym grobowcu na wzgórzu, a potem nad ranem, kiedy i psy najmocniej śpią, ruszył przed siebie, do miasta w wielkim pośpiechu, chociaż nikt go nie gonił. Odpędzał od siebie jak natrętną muchę Burka, poczciwego psa, bardziej czujnego od innych. Dobrze, że to swój pies, ale gdy Burek wiernie szedł za nim z kilometr, przepędził psa, ten skomlać powędrował do wsi z powrotem.

Z Andrzejem Skowronem było inaczej. Odprowadzono go daleko za wieś. - Trzymaj się!... Wracaj szybko...! Nie bądź frajer...! Wracaj...! Lekko mu było na sercu z takim pożegnaniem. I tak znalazł się w mieście, które nie miało stać się meta, ale startem do wielkiego, długiego biegu. Może w tej pierwszej chwili w mieście czuł się jak car Piotr, który także wyruszył w świat po mądrości, aby je potem mądrze spożytkować w swoim kraju. Andrzej Skowron uczynił podobnie. Nie gardził żadną robotą, aby tylko nauczyć się jak najwięcej, jak najlepiej, umieć więcej potem od tych miastowych. Został gońcem, takim przy dyrektorze, do specjalnego roznoszenia dokumentów w wielohektrowym zakładzie. Przez pół dnia na piechotę trudno było powrócić tutaj z drugiego krańca. Wszystko tutaj kręciło się składnie. Obliczone każdy ruch, nic nie na próżno. Nikt nie ochodził bokiem, to tu, to tam, każdy znał swoje miejsce już przed swoim przyjściem, urzekająca składnia ludzkich poczynań. Ci na miejscu twierdzili, że jest inaczej, bałagan nad bałaganem, ale Andrzeja urzekał ten porządek. A narzekać to wszyscy potrafiają jednakowo i w mieście, i na wsi. Taki katalog uporządkowanego czynu każdego, wpisanego na trwale w magazynie, tam na końcu fabryki, gdzie na odjazd w pola czekają traktory, jeszcze takie

247

nieśmiało, zapatrzone w blask połyskującego na nich lakieru.

Do magazynu Andrzej zachodził często, tutaj kończył się obchód z dyrektorskimi papierami. Magazynier z początku przepędzał Andrzeja. Po pewnym czasie dał temu spokój. Bo młody chłopak z nieutajonym podziwem patrzył na spokojnie stojące jeszcze ciągniki. Ochraniał go nawet przed przycinkami innych... - że niby jak na malowane wrota patrzy. Ciągnikiem od tego jego patrzenia nie się nie stanie, niech spogląda...

Rozstał się jednak wkrótce z magazynem. Przeniósł się na tokarnię. Zapisał się do technikum. Aby nie tylko pracować na maszynie, ale poznać wszystko o niej. Stać się doktorem dla maszyny, bo to na wsi jest bardzo potrzebne. Ale miasto na swoje prawa, porywa niejednych jak rzeka, taka nizinne, niby z pozoru o słabym nurcie, ale zdradziecka, z wirami, mogącymi wchłonąć człowieka na zawsze. A Zakole czeka. Przychylnym okiem każdy zaczął patrzeć na niego w fabryce. W hotelu robotniczym sprawuje się też dobrze, wprowadził miał z początku wszy. Później okazało się, że nie on je przyniósł. Gdy taką jedną znalazł u siebie, postąpił po męsku, poszedł odważnie do higienistki. Wszy w hotelu królowały jednak nadal. Przestano z niego kpić. Nosicielem tych haniebnych stworzeń był Cudowny Lolo, przystojniak jak się patrzy.

To jemu Andrzej zdjął przy wszystkich okazały okaz. Nie był wiejski, ale miastowy. Wszy, pchły, gnojówki przypisuje się nie miastu, chociaż i w mieście tego nie brakuje. Cudowny Lolo czekał na niego przed fabryką po robocie. Uderzył z tyłu.

Andrzej Skowron odczuł ból podwójnie, nie o wszy szło tutaj, ale o to, że Zakolowi przypisuje się nie to czym jest, czym będzie, czym stanie się po jego powrocie. Tłum rozdzielił ich. Bójkę zaliczono na Andrzeja. Słowo telegramu, takiego bez trudu poszło przeciw niemu, że niby to on roznosił wszy, higienistka milczała, nie powiedziała prawdy. Ale takie słowa nie zawsze były tutaj w cenie. Przebolał to w końcu. Ważne jest to, że majster patrzy na niego z pochwałą w oczach. Chwali staranność, pilność. Andrzej Skowron uczy się nocami, nawet przy robocie na trzeciej zmianie...

- Tylko nie wracaj na wieś, masz złote ręce, głowę nie od parady... dobry jesteś...

Brzmi to jak pokuszenie. Nie podda się temu wirowi, wielu już z tego nie wraca na wieś, nie trafiają na swój brzeg, zostają. Jadzia z Zakola przyjeżdża coraz częściej, trochę to go niepokoi, bo czemu opowiada, że stary Skowron często wychodzi na drogę prowadzącą do miasta i pilnie wypatruje nadchodzących.

A on skończył technikum. Zapisał się na uniwersytet. Jeszcze nie nastąpił czas powrotu. Ojciec przepisał na niego gospodarstwo.

A miasto zaczęło w oczy błyskotkami zachodzić. Jadzia nagle przestała przyjeżdżać, może niecierpliwa, dziewczęta nie lubią obecnie za długo czekać. A kiedy Brygidek powiedział wprost, że ma zamiar wrócić do Zakola, on przyszły inżynier, pokręciła kółkiem po jego czole. Andrzej powtórzył jeszcze wyraźniej swoje plany życiowe, dlaczego ona nie może razem z nim żyć i pracować na wsi, jest młoda, chętna wszystkiemu. Brygodka zeszywniała dziwnie, stała się oschła, wyszła trzaskając drzwiami. Wróciła nazajutrz bardziej serdeczna niż dawniej, swojska, przystępna, z niezwykłą kobiecą zaradnością chciała odmienić jego plany. Andrzej nie dał jednak innej recepty, trwał przy swoim. Popatrzyła na niego z politowaniem, dziwnie zgaszona, niezaradna w tej chwili stała nie ubrana na środku pokoju, więc jeszcze za mało dała temu czarnemu chłopcu o tęsknych tęsknych piwnych oczach. Westchnęła i odeszła, więcej nie powróciła. Szukał jej w deszczowy wieczór, bo jakże tak, teraz między nimi miało być, Andrzej zaglądał wszędzie, nigdzie jej nie było. Napotkał na ulicy miasta starego majstra.

- Coś taki oszalały - nie poznawał go Andrzej w pierwszej chwili.

- Co, wzięła cię morska choroba, ludzi nie widzisz...?! Majster spojrzał na niego jeszcze raz i odszedł kiwając głową. Andrzej i tak nie był dzisiaj do rozmowy. Taka współczesna morska choroba na miłość nie trwa długo. I miał rację. Znalazł Brygidę przypadkowo w recepcji pobliskiego hotelu. Nie była sama. Wypiegił za miasto. Nazajutrz Brygida na jego widok przeszła na drugą stronę ulicy. Nie miał nic przeciwko temu. Podjął decyzję powrotu. Majster myślał, że z tego powodu, takiego odwiecznego, nikt porzuconym być nagle nie chce. Zganił majster Brygidę. Ta wzruszyła ramionami. Jej sprawa. Kierownik na wieść o zamierzonym odejściu Andrzeja Skowrona jak zwykle w tym zalałanym świecie niczego nie mógł pojąć.

- Chłopie, co tam Brygida, takie są na kopy. Tobie należy się w życiu coś lepszego, uszy do góry. Dam ci dwie grupy do góry... Stary podpisze... no trzymaj się...! Cholera! Znowu telefon! Dyrektor tobie podpisze nawet nocą. Trzymaj się!

Andrzej Skowron zaliczył już uniwersytet. Według niego nastąpiła chwila powrotu. Zakole czeka.

Dyrektor oprowadzał go po fabryce. Nie dał o niczym słyszeć.

- Słuchaj, hamownia potrzebuje szefa. Zastanów się nad tym.

285

I już go nie było, tak było z nim zawsze.

Prawdziwe diabelskie kuszenie. Hamownia. Na uwięzi ryczące silniki chcące zerwać się na stałe do życia, tam do pól. Pola czekają. Czekają. On też jest na uwięzi, zapal w nim, tak wiele wie, umie, car Piotr nie inaczej. Chciał po ludzku, nie chyłkiem.

- Andrzej, do cholery, czemu ty... dam dziesięciu za ciebie na wieś. Dam co trzeba na wieś, księgowy zapisze jak trzeba... chłopie, słuchaj stary, dam cement, niech rośnie wszystko, czemu nie.

Andrzej wstał, podał dłoń. Ciężkie kamienie jakby znalazły się w jego kieszeni. Nie unikał wzroku dyrektora. Podali sobie dłonie.

- Jakby ci się odmieniło, drzwi otwarte.

Maciej Skowron po powrocie syna raz po raz do każdego we wsi zachodzi, chociaż nie zawsze ma sprawy do załatwienia. Ma wiele wolnego czasu i wiele do opowiedzenia, mówi prostym narzeczem, błękitnym, najczęściej o powrocie syna.